

ce rozeznął z łatwością trzy wielkie ptaki, o barwnym upierzeniu, widział, jak krążyły chwilę nad głowami ginących, aż wreszcie osiadły na pobliskiej, poszarpanej skale.

Były to sępy, ptaki pustyni, zwiastuny śmierci. Dziewczynka poczęła klaskać w dłonie.

— Te ptaki ładnie latają — zawołała uradowana — powiedz mi, czy kraj ten stworzył też Pan Bóg?

— Tak jest dziecino — odparł jej ojciec, zdziwiony niezmiernie zadaniem pytaniem.

— On stworzył Illinois i Missouri, o tem wiem dobrze tatusiu — mówiło dalej dziewczątko. — Ale ten kraj wcale nie piękny, taki jakiś pusty — pewnie go stworzył ktoś inny, zapomniawszy przytem o wodzie i drzewach.

— Zmów teraz modlitwę — odezwał się starzec.

Głos jego drżał.

— Czy mam ją zaraz odmówić? Jeszcze nie jest późno, jeszcze nie wieczór.

— To nic nie szkodzi dziecino. Choć nie wieczór teraz, wierz mi dziecino, Bóg wysłucha twych dziecięcych prośb. Zmów twą wieczorną modlitwę, tak jak dawniej, gdy jechaliśmy przez Persję.

— Dlaczego ty się ojciec nie modlisz? — zapytała mała, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Nie wiem sam czemu! To już tak dawno, jak się ostatni raz modliłem, że zapomniałem słów modlitwy. Mów ty wpierw moja dziecino, ja będę powtarzał za tobą.

— Musimy zatem uklęknąć, ty także — zawołała mała, rozkładając szal na ziemi. Musisz także ręce złożyć — tak — będziesz widział, że nam Pan Bóg pomoże.

Uklękli zatem obok siebie na ziemi, mała szczebiocząca dziewczynka i doświadczony starzec. Jej pełne niewinności oczy, i jego wychudłe oblicze, skierowane były w stronę pogodnego nieba. Błagali o litość i pomoc. Ton jego grubego, głębokiego głosu, zlewał się w jedną, harmonijną całość z jej miękkim, miłym głosikiem. Po zmówionej modlitwie usiedli w cieniu skały i wkrótce zasnęła smacznie dziewczynka na piersiach jej ojca-obrońcy. Od trzech dni i nocy odmawiał sobie spoczynku, teraz jeszcze czuwał przy niej, ale natura domagała się swych praw. Powoli przymknęły mu się powieki, głowa opadła na piersi, jego siwe włosy pomieszały się ze złotymi loczkami dziecięcia i oboje zasnęli głębokim, wybawczym snem.

Gdyby był podróżny jeszcze pół godziny wytrzymał na warcie, byłby spostrzegł przed sobą dość dziwny widok. Na najdalszym skraju pustyni wznosiła się chmura dymu, początku trudna do rozeznania, zwiększała się zwolna coraz bardziej, stawała się coraz gęstsza, aż wreszcie utworzyła jedną gęstą, nieprzebitą masę. Chmura rosła coraz bardziej, aż można było na pewne przypuszczać, że zbliża się cała gromada ludzi i zwierząt. W prędkich przypuszczanach na pewne, że zbliża się stado bawołów, ale w tej pustej, dzikiej okolicy i pomyśleć o tem nie było można. Podróżni zbliżali się coraz bardziej do ściany skalnej, gdzie spoczywało snem głębokim ujętych dwoje zmęczonych ludzi. Już można było rozróżnić wozy z płóciennem okryciem, a gromada uzbrojonych ludzi wysunęła się naprzód. Co za lotny orszak! Gdy początek orszaku zbliżył się już do skały, nie można było w dali jeszcze ujrzeć ostatnich jeźdźców. Na przełaj przez daleką równinę rozciągała się masa najrozmaitszych wozów, obok których jechali uzbrojeni mężczyźni na koniach. Całe orszaki kobiet chyliły się pod ciężarami, jakie nałożono na ich barki, dzieci biegły za wozami i zaglądały ciekawie pod białe płótna.

To nie mógł być orszak zwykłych podróżnych, o było całe plemię koczownicze, które bieda lub rześladowanie zmusiło do wynajdywania sobie nowych siedzib, nowej ojczyzny. Krzyki i płacze słychać było dokoła, koła skrzypiały, mieszając się rżeniem koni.

Lecz hałas ten nie zdołał obudzić naszych znękaných podróżnych.

Na czele orszaku jechało dwudziestu może mężczyzn o rysach spiżowych, uzbrojonych we flinty, i w zwykłych odzieniach.

Przy skale zatrzymali swój orszak i zgromadzili się na wojenną naradę.

— Strumienie leżą po prawej ręce — moi bracia — powiedział człowiek o wygolonej twarzy i krótko ostrzyżonych włosach.

— Tak jest, na prawo od Sierra Blanca, to jest także droga, prowadząca do Rio Grande — odparł inny.

— Nie obawiajcie się braku wody — odpowiedział inny. — Bóg wypuścił raz wodę ze skały, nie opuści swoich wybranych.

— Amen, Amen — odpowiedziała gromadka.

Właśnie mieli ruszyć w dalszą drogę, gdy jeden z najmłodszych wydał okrzyk zdziwienia, wskazując na sterczącą skałę, na której bystre jego oko coś powiewającego dostrzegło, co się wyraźnie odbijało od ciemnych kamieni.



Uklękli zatem obok siebie na ziemi, mała szczebiocząca dziewczynka i doświadczony starzec.

Jak na komendę dodali bodźca swym koniom podróżni i zdjęli broń z ramion. Galopowała z tyłu nowa gromada jeźdźców, aby wzmocnić straż przednią.

— Indyanie! — brzmiało dokoła.

— W tutejszej okolicy niema Indyan — odpowiedział jakiś starszy człowiek, który miał nad nimi naczelne dowództwo. Pawneesów minęliśmy już dawno, a innych szczepów nie spotkamy, aż znajdziemy się po drugiej stronie tych gór niebotycznych.

— Ja poskoczę naprzód bracie Stangersonie — zawołał jeden z gromady — aby zobaczyć, co to właściwie oznacza.

— Ja także, ja także — odezwało się kilka głosów.

— Zostawcie wasze konie na dole, zaczekamy tu na was — rozkazał starzec. Szybko zeskoczyło z koni kilku podróżnych, przywiązali je, poczem rozpoczęli się spinać na pochyły pagórek, szybko i bez wrzawy, i to z zręcznością i pewnością wyćwiczonych szpiegów. Ludzie, pozostali w dolinie, śledzili ciekawie ich ruchy, odbijające się wyraźnie na tle pogodnego nieba, spinające się odważnie po skałach.

W tej chwili właśnie osiągli to miejsce.

Musiał to być niezwykle widok, jaki rozpostarł się przed ich zdziwionymi oczyma, gdyż wzniesli ręce do góry, dając w najrozmaitszy sposób do poznania, że zdziwienie ich dobiegło kulminacyjnego punktu.

Na płycie, wznoszącej się tuż obok zwykłego, poszarpanego pagórka, wznosił się jeden olbrzymi głaz skalny; o niego oparł się mąż o siwej brodzie i zmarszczonej twarzy. Jego głęboki, miarowy oddech, wskazywał dowodnie, że złożony jest snem sprawiedliwego. Obok niego spała młoda dziewczynka, objawiając drobnymi rączkami jego starczą szyję, złotą zaś główkę wsparłszy na jego piersiach. Różowe usteczka dziewczątka rozwarły się trochę, a po jej miluchnej twarzyczce igrał uśmiech zadowolenia i szczęścia.

Trzy ptaki drapieżne, które siedziały spokojnie na wystającej skale pobliskiej, kracząc uciekły od ofiar, spostrzegłszy nowych przybyszów. Ich ochryple krakanie zbudziło śpiących, którzy zdumieni patrzeli na nieznanych im bliżej wybawców. Starzec podniósł się zwolna i niby przez sen spoglądał w dolinę, przed chwilą jeszcze pustą zupełnie, na której się teraz roilo od ludzi i zwierząt.

— Mam pewnie gorączkę — mruknął do siebie — kładąc rękę na czole.

Dziewczynka stała obok niego i trzymając się kurczowo swego ojca, patrzała błędnymi oczyma na nieznanych podróżnych.

Wybawcom udało się z trudem przekonać ocalonych biedaków, że to, co widzą przed sobą, nie jest wcale złudzeniem zmysłowem, ale najrzeczywistszą prawdą.

Jeden z młodych ludzi wziął na swe barki dziewczynkę, dwaj inni ujeli starca pod ramiona.

— Nazywam się John Ferrier — odpowiedział ocalony — ja i ta mała dziewczynka, którą widzicie przed sobą, to wszystko, co ocalało z 21 ludzi. Reszta zginęła marnie po drodze z południa.

— Czy to wasze dziecko — pytali ci, którzy sprowadzili go ze sobą.

— Tak! To moja jedynaczka — odpowiedział starzec dobitnie. — Zdołałem ją ocalić. Od dzisiejszego dnia nazywa się Lucy Ferrier, i nikt niema do niej prawa prócz mnie. Lecz coście wy za jedni? — pytał dalej, patrząc z niemałym zdziwieniem na męskie, ogorzałe od słońca oblicza swych wybawicieli — niezliczona was tu gromada, aż się roi poprostu.

— Prawie dziesięć tysięcy — odpowiedział jeden z młodych ludzi. — Jesteśmy prześladowanymi dziećmi Boga, wybrańcy anioła Merona!

— O nim nie słyszałem nigdy — odpowiedział starzec — no, wybrał sobie ten anioł wcale liczną gromadę.

— Nie drwinkuj sobie z rzeczy świętych — odparł surowo zapytany.

Widzisz przed sobą naród, który wierzy w objawione pisma, przekazane na złotych tablicach świętemu Józefowi Smithowi w Palmyrze. Świątynie zbudowaliśmy sobie w państwie Illinois w Nauvoo. Teraz opuściliśmy nasze domostwa, aby przed bezbożnymi i zdolnymi do gwałtu ludźmi nowych osad poszukać, nawet gdyby nam przyszło na pustyni zamieszkać.

Wzmianka o Nauvoo zda się zbudziła jakieś uśpione wspomnienie w sercu Johna Ferriera.

— Teraz już wiem — odparł po chwili — czyście wy nie mormoni?

— Tak jest — mormoni! mormoni! — odpowiedziała gromada jednogłośnie.

— A dokąd idziecie?

— Tego nie wiemy jeszcze sami. Ręka boska kieruje nami i prowadzi nas przez naszego proroka. Zaprowadzimy was przed niego; on zawyrokuje, co się z wami stanie.

Zeszli tymczasem z góry, gdzie skupiło się wielu podróżnych.

(Dalszy ciąg nastąpi)